

Jakub Moroz: Czułość i nieprzejednanie. W. G. Sebald o polskim Londynie

Polska jest krajem niepogrzebanych lub źle pogrzebanych zmarłych



Polska jest krajem niepogrzebanych lub źle pogrzebanych zmarłych

Polska jest krajem niepogrzebanych lub źle pogrzebanych zmarłych. To stwierdzenie ma charakter tyleż metaforyczny, co dosłowny. Olbrzymie straty ludnościowe poniesione przez kilka grup etnicznych głównie na ziemiach II Rzeczypospolitej w latach trzydziestych i czterdziestych XX wieku opisał niedawno w swej błyskotliwej – choć ogromnie ponurej – pracy Timothy Snyder (2011). „Mitteleuropę”, niewinnie dekadencją nazwę terenów częściowo pokrywających się z kawałkiem świata przedstawionym w książce, amerykański historyk zastąpił słowem:

bloodlands, skrwawione ziemie – ziemie nasiąknięte niewyobrażalną ilością ludzkiej krwi, pochodzącej od około czternastu milionów ofiar. 14 000 000 zabitych to naprawdę tylko cyfra – matematyczny parawan, skrywający konkretne, jednostkowe losy wraz z ich tragicznym końcem. Jak pisze Snyder: „Każdy spośród żywych miał imię. [...] Każdy spośród zabitych stał się liczbą” (2011: 409). Dziś w ogromnej większości przypadków nie znamy tych imion, znamy jedynie liczby, lecz skoro rachunek się zgadza – myślimy – niewiele zostało tu już do dodania. Tymczasem zamiana konkretnych ludzi w obojętne cyfry stanowi miarę naszego zapomnienia i dezorientacji. I dlatego właśnie zmarli pozostają wciąż niepogrzebani – nie doczekali się odpowiednich rytuałów ani miejsca w pamięci żywych. Otrzymali za to tę namiastkę, która nie wiadomo, czy bardziej jest pociechą czy drwiną: zostali „wpisani do rejestru” śmierci.

Polska jest krajem zmarłych zamienionych w ciągu minionego wieku w podręcznikowe dane lub wymazanych ze świadomości społecznej. Powody owego wymazania bywały rozmaite i niekiedy nakładały się na siebie – jak gdyby złe moce sprzysięgły się, by dokonać jeszcze jednego w naszym dziejach rozbioru, tym razem rozbioru pamięci. Totalitaryzmy dwudziestego stulecia przyniosły niesłychane w dotychczasowej historii zerwanie ciągłości biologicznego życia ludzkiego, za którym poszło równie głębokie zerwanie ciągłości kulturowej i politycznej. Za to spustoszenie odpowiedzialna było wojna i jej przerażające żniwo, ale także następujące po wojnie półwieczne rugowanie dawnych praktyk, obyczajów i stylów myślenia z tkanki społecznej.

Na „skrwawionych ziemiach” od wieków wierzono, że kiedy pogrzeb i żałoba nie przebiegają prawidłowo lub kiedy nie ma ich wcale, wtedy zmarli nie mogą wyruszyć w podróż do innego świata, błąkają się po ziemi, bezradnie prosząc o pochówek lub okrutnie mszcząc się za jego brak i ludzką niewdzięczność. Nie uświadamiamy sobie często rozmiaru katastrofy, jaka spotkała nas w XX wieku i dlatego zbyt szybko, zbyt łatwo przechodzimy do porządku dziennego nad rubrykami ofiar i opowieściami o niepochowanych zmarłych, w postaci wampirów i strzyg, prześladujących żywych. A przecież po roku 1989 tylko w niewielkim, może wręcz znikomym, stopniu udało się nam spełnić obowiązek Antygony. Liczni zmarli wciąż czekają na swój pochówek – jeśli nie dosłowny, to przynajmniej w sensie symbolicznym: na pamięć, wyrażającą się w całym bogactwie form i praktyk przywracania ciągłości: lektur, filmów, pomników, wydarzeń. Życie licznych zmarłych nigdy nie zostało opłakane, ich historie nie były opowiedziane. Nie znamy ich myśli, nawyków, codziennych czynności, sympatii i antypatii, drobnych gestów, grymasów...

Dotyczy to nie tylko tych, którzy tu zginęli w trakcie wojennych mordów, ale i tych, których skazano na banicję i wieczne milczenie. Jednym z naszych tragicznych wygnańców jest grupa Polaków, która po wojnie, ze względu na swój bezkompromisowy antykomunizm, zmuszona została do pozostania na obczyźnie i jako miejsce zamieszkania wybrała Londyn. Bardzo często – w przeciwieństwie do dobrze już przyswojonego dziedzictwa paryskiej „Kultury” – współcześni Polacy nie znają jej dorobku ani działalności, ani życia codziennego, ba, nie znają nawet nazwisk jej przedstawicieli. „Londyńczycy” to wielki nieobecny polskiej świadomości narodowej. A

jeśli już się o nich mówi, to nierzadko w tonie ironicznym, krytycznie traktując ich nieprzejeźdnie wrogi stosunek do rzeczywistości politycznej drugiej połowy dwudziestego stulecia.

Style pamięci

Bez wątpienia trzeba zdmuchnąć kurz z napisanych w Londynie polskich książek, odkryć na nowo powstałe tam idee i myśli, uważnie prześledzić toczony wówczas spory. Kryją one niemało spraw ważnych i nieoczekiwanych aktualnych, wartych ożywienia w debacie intelektualnej dzisiejszych Polaków. Ja jednak chciałbym pokonać rzekę czasu w trochę innym celu. Nie idee są przedmiotem mojego zainteresowania, ale sami ludzie – ich doświadczenia, losy, emocje, postawy. Chcę zatem dotrzeć do zmarłych, chcę nawiązać z nimi kontakt, odtworzyć ich przeżycia. Jeśli bowiem przypominamy idee, to spróbujmy się też pochylić nad obrazami poszczególnych życiorysów i ludzkim losem te obrazy stwarzającym. Takie niby zaduszne wspominki stanowią w końcu część obowiązku pamięci. Nieuchronnie nasuwa się jednak pytanie: jak można ów obowiązek wypełnić? Jak dotrzeć do doświadczeń „Londyńczyków”? Czy można dziś jeszcze zrozumieć tamte przeżycia i tamtych ludzi, zamieszkując jednocześnie świat o zupełnie innym obliczu? Jak doprowadzić do spotkania „nas” z „nimi”?

Wydaje się, że nic prostszego. To w końcu truizm, że polska kultura, ze względu na swój związek ze specyfiką dziejów kraju i formacją romantyczną, która ją współkształtowała, ma w niemałym stopniu właśnie zaduszny charakter. Wiele doskonałych dzieł literatury i sztuki, poczynając od *Dziadów* Adama Mickiewicza, a skończywszy na *Wielopole, Wielopole* Tadeusza Kantora, to jakby seanse wywoływania

duchów. Romantyczne „obcowanie zmarłych”, dobrze w naszej tradycji artystycznej zadomowione, doczekało się wiernych kontynuatorów i szyderczych adwersarzy, trafiło też pod strzechy, jak przekonują przykłady popularnych piosenek, wierszy, a nawet przemówień. Wystarczy chyba tylko sięgnąć po repertuar znanych i uznanych środków.

Niestety, nietrudno dostrzec, że dziś wspólnotowy patos romantycznej kultury przestał być uniwersalnym kodem oglądu historii. W drugiej połowie XX wieku, a zwłaszcza po 1989 roku, siła jego przyciągania znacząco zmalała, a wiele z jego komponentów zaczęło się jawić jako myślowe i estetyczne klisze, zdarte wieloletnim nadużywaniem. Nie znaczy to wcale, że powinniśmy definitywnie, raz na zawsze „zrzucić płaszcz Konrada”, radykalnie zaprzeczając naszej duchowej tradycji. Kiedy jednak z dzisiejszej perspektywy próbujemy się mierzyć z tragicznymi doświadczeniami XX stulecia, w tym z doświadczeniem exodusu niezliczonej rzeszy wygnańców, z dnia na dzień ograbionych z ojczyzny, musimy się zdobyć na próbę odnowienia języka, którego używamy. W przeciwnym razie grozi nam, że nasze spojrzenie sklerotycznie utkwi w karbach oczywistych schematów i automatycznych, skazanych na łatwiznę, sądów. Ożywianie języka to zarazem ożywianie myśli, naprowadzające na nowe wątki i szlaki interpretacyjne. Trzeba zatem bacznie zwrócić uwagę na kwestię – by tak rzec – stylu pamięci i stylu mówienia o „drogich zmarłych” naszej narodowej wspólnoty. Liczy się nie tylko to, „co pamiętamy”, ale i „jak” to robimy, jaki kosmos wyobrażeniowy oraz językowy tworzy nasza pamięć i czy w ogóle jest ona zdolna sięgnąć przywoływanej rzekomo przeszłości. Ta bowiem jest jak pokój dzieciństwa, o którym pisał Tadeusz Kantor:

Oto pokój mojego dzieciństwa,

Który ustawiam ciągle na nowo

I który ciągle umiera

(Kantor 2004: 207).

To byt nieustannie umierający, osuwający się w nieistnienie i dlatego wymagający ponawianego wciąż wysiłku odtwarzania, „ustawienia na nowo”, dla nowych wciąż widzów – odbiorców inscenizacji minionego czasu.

W próbie zrozumienia fenomenu „Polskiego Londynu” i ominięcia wspomnianych przed chwilą melizm chciałbym sięgnąć po pomoc nieoczywistego w tym kontekście przewodnika. Jest nim znakomity niemiecki prozaik W. G. Sebald, autor prawie niepiszący o Polakach i na pewno bardzo odległy od poetyki rodzimego romantyzmu, równocześnie jednak – co też postaram się pokazać – zadziwiająco bliski doświadczeniu polskiego losu w XX wieku.

Sebald oskarża

Powiedzmy od razu, że Sebald był niemieckim pisarzem w dużym stopniu wyobcowanym z realiów współczesnych Niemiec. Żeby zrozumieć jego szczególną sytuację w literaturze naszych zachodnich sąsiadów, należy zatem zwrócić uwagę na fakt, że przez blisko trzydzieści pięć lat, od wyjazdu na studia do Manchesteru w roku 1966 aż do tragicznej śmierci w 2001 roku, Sebald z wyboru żył w Anglii, a jego dalece skomplikowany stosunek do ojczyzny nosił piętno trwałego urazu. Uraz ten był spowodowany przeświadczeniem, że Niemcy wciąż jeszcze nie rozliczyli się z mrocznym dziedzictwem III Rzeszy. Sam Sebald przyszedł na świat w rodzinie zawodowego wojskowego. Jego ojciec brał udział między innymi w tak zwanej kampanii polskiej 1939 roku, ale w domu – jak wspominał pisarz – nigdy nie rozmawiało się o okresie rządów Hitlera ani o samej wojnie. Zresztą podobnie było w wypadku rówieśników Sebalda: na pytania o tamte czasy nie odpowiadano na ogół wcale albo zbywano pytania nadzwyczaj ogólnymi formułami o „wielkim nieszczęściu” kraju i Europy. Pokolenie przeżywające wczesne dzieciństwo w trakcie wojny i tuż po jej zakończeniu miało być wychowane w republice „nowych Niemiec”, oddzielonych „grubą kreską” od mrocznej przeszłości rodziców. Jednak w wieku kilkunastu lat młody Winfried Georg zaczął na własną rękę odkrywać gorzką prawdę o niedawnej historii. Poznawana stopniowo przeszłość, wszechobecny opór starszych pokoleń wobec jej ujawniania i bezradność w próbie tłumaczenia spowodowały, że Sebald już na zawsze wyrobił sobie radykalnie negatywny pogląd na moralną kondycję Niemiec. Niechęć była na tyle silna, że pisarz znienawidził swoje imiona, kojarzące mu się z ojcem – pośłańcem śmierci z Wehrmachtu oraz z bałwochwalczym uwielbieniem czystości germańskiej krwi. Od tamtego czasu Sebald nigdy nie rozwijał swoich inicjałów „W. G.” i posługiwał się wyłącznie przybranym imieniem Max, wiążącym go bardziej chyba z Anglią niż z krajem ojczystym.

Najbardziej nieprzejednany stosunek do Niemiec Sebald ujawnia w *Wojnie powietrznej i literaturze* (2012), zapisie wykładów z poetyki wygłoszonych w Zurychu jesienią 1997 roku oraz dołączonym do wykładów szkicu poświęconym Alfredowi Anderschowi – pisarzowi, który – choć mieszkał w III Rzeszy – pozostał rzekomo „emigrantem wewnętrznym”. Tylko rzekomo, gdyż – jak przekonuje Sebald – postawa Anderscha w czasach terroru, wbrew zmistyfikowanej autobiografii, nie odznaczała się żadnym heroizmem, przeciwnie: stanowiła raczej pasmo brudnych kompromisów, proces dostosowywania się do istniejących warunków, wyrosły z zawinionej ślepoty. Na taką pesymistyczną ocenę nie wpływa wcale kilkumiesięczny „reedukacyjny” pobyt pisarza w Dachau, odbyty z powodu działalności w partii komunistycznej. Szczytowym punktem procesu układania się z nazistowskim reżimem było rozstanie literata z żoną, z pochodzenia Żydówką. Akt ten Sebald przedstawia jako bezwzględne wyzbycie się kłopotliwego balastu utrudniającego życie i osobisty rozwój w rasistowskim państwie. Analiza prozy Anderscha dowodzi z kolei, że literatura odgrywała w jego wypadku nikczemną rolę korekty własnego życiorysu. Wiele scen powieści fałszywego „wewnętrznego uciekiniera” bierze początek w przeżytych sytuacjach, pisarz dodaje im jednak przeestetyzowanych kolorów, nieodmiennie stawiających jego postać w lepszym niż w rzeczywistości świetle. Esej Sebald ma tymczasem charakter bezwzględnie lustracyjny. Jego rozważania kwestionują możliwość łatwego pozostania artysty na „emigracji wewnętrznej” w warunkach dyktatury i każą pytać o bardziej lub mniej subtelne sposoby uwikłanie w machinę terroru. Co najważniejsze, Sebald zwraca uwagę na problem dyskretnego retuszu własnej biografii, jakiego dokonywali artyści po końcu „totalitarnej nocy”. Bezkompromisowy szkic niemieckiego autora jest wymierzony tyleż w wybiórczą niemiecką pamięć, co w aktualny *establishment* literacki i literaturoznawczy RFN. Sebald

zaznacza, że znakomita większość badaczy i biografów Anderscha nie dopatrzyła się w jego życiu czy twórczości żadnych skaz. Sam Andersch, cierpiący, zdaniem Sebalda, na chorobliwie silną potrzebę sukcesu, już po wojnie przez lata „zajmował kluczową pozycję w rozwijającym się przemyśle literackim Republiki Federalnej” (Sebald 2012: 127).

Sądzę, że ten przetłumaczony niedawno na język polski tekst Sebalda mógłby się przyczynić do ożywienia debaty nad uwikłaniem polskich pisarzy w komunizm. Wydaje się, że według Sebalda żadna absolutna „gruba kreska” nie jest możliwa, a wyparte mroczne karty przeszłości powodują ostatecznie nawarstwianie się nowych pokładów fałszu i demoralizującego zapomnienia.

Sebald i Mackiewicz

Zarazem ocena Anderscha sformułowana przez Sebalda przypomina sądy ferowane przez emigrację, mniej lub bardziej związaną z polskim Londynem, pod adresem krajowej literatury powojennej. Wystarczy wspomnieć Józefa Mackiewicza i jego radykalnie podejrzliwy stosunek do twórczości artystów PRL-owskich oraz tych wojennych uciekinierów, którzy po 1945 roku zdecydowali się na powrót, na czele z bratem Józefa – Stanisławem Catem-Mackiewiczem (zob. Gotowiecki 2012). Przypomnijmy, że według „Ptasznika z Wilna” Rzeczpospolita Polska oraz Polska Rzeczpospolita Ludowa były radykalnie odmiennymi bytami. Ta druga, w całości podporządkowana Moskwie, stanowiła jedynie lokalną kopię państwa Sowietów, a wszystkie jej pozornie narodowe instytucje stanowiły totalitarne atrapy polskości. Wynikało to z generalnego poglądu pisarza na komunizm jako system bezwzględnie zawłaszczający pojęcia, kategorie i wartości, a następnie

instrumentalizujący je w walce o panowanie nad światem. Zdaniem Mackiewicza w komunizmie żadna sfera rzeczywistości nie może być autonomiczna, całe życie społeczne zostaje bowiem podporządkowane celom rewolucji. Dotyczy to również języka oraz jego wytworów, między innymi literatury pięknej. Dlatego komunistyczni pisarze nie są pisarzami w tradycyjnym rozumieniu tego słowa, ale raczej funkcjonariuszami totalitarnego systemu, rzuconymi na „artystyczny odcinek walki klasowej”. Na tym właśnie polega istota stojącego w centrum ideologii marksizmu-leninizmu kłamstwa semantycznego: komunizm odbiera wolność i podporządkowuje całe ludzkie życie celom politycznym, tworząc równocześnie parawan pozornie niezależnych instytucji i praktyk społecznych. Dlatego jakkolwiek próby pertraktacji i zawierania kompromisu z sowieckimi aparatczykami w ich rozmaitych wcieleniach narodowych czy zawodowych są z góry skazane na klęskę. Dotyczy to również tak zwanych rewizjonistów, bowiem – jeśli rozumowanie pisarza jest słuszne – perspektywa ewolucji systemu ku „komunizmowi z ludzką twarzą” jest tak naprawdę tylko kolejnym z serii oszustw (Bolecki 2007).

U podstaw myślenia Mackiewicza o literaturze leży troska o czystość języka oraz o jego wolność w stosunku do ideologicznych zawłaszczeń. Dlatego autor tak radykalnie dezawuował kandydatury krajowych pisarzy w okresie, gdy zasiadał w jury nagrody literackiej londyńskich „Wiadomości”. Za przykład bezkompromisowej oceny, porównywalnej w jakimś sensie z rozważaniami Sebalda o Anderschu, niech posłuży poniższa wypowiedź, poświęcona Jerzemu Andrzejewskiemu: „Jerzy Andrzejewski jest klasycznym pisarzem komunistycznej Polski, jak to inni nazywają: «reżymowym». Pisarzem, to znaczy nie agitatorom czy płatnym propagandzistą, lecz płatnym przez rządowo-partyjne wydawnictwa – bo innych tam nie ma – *literatem* PRL-u, który, jak

stwierdzają urzędowe polsko-komunistyczne źródła: «W latach 1945–1950 ewoluował ku marksizmowi» [...]. Był też konsekwentnie przez partię i rząd komunistyczny za tę swoją działalność literacką nagradzany i odznaczany. Jego okresowa, ściśle wewnętrzna «opozycyjność» wobec tych lub innych posunięć partyjnych czy wobec pewnych zjawisk rzeczywistości w kraju, ani na jotę nie zmienia jego postawy zasadniczej, a raczej tę postawę potwierdza» (cyt. za: Kossowska 1993). Podobnie jak w wypadku Anderscha z sebaldowskiego opisu, choć w nieco innym wymiarze, rzekoma „opozycyjność” Andrzejewskiego jawi się tu jako pozór, skrywający wewnętrzną spolegliwość wobec władzy.

Jakub Moroz (1985): teatrolog, interesuje się też antropologią kulturową, filozofią i religioznawstwem. W wolnych chwilach słucha muzyki dawnej, czyta i podróżuje.



Jest to fragment tekstu opublikowanego w najnowszej 30-31 tece „Pressji” Tu mówi Londyn! „Pressje” można kupić w empikach w całej Polsce i na Allegro.